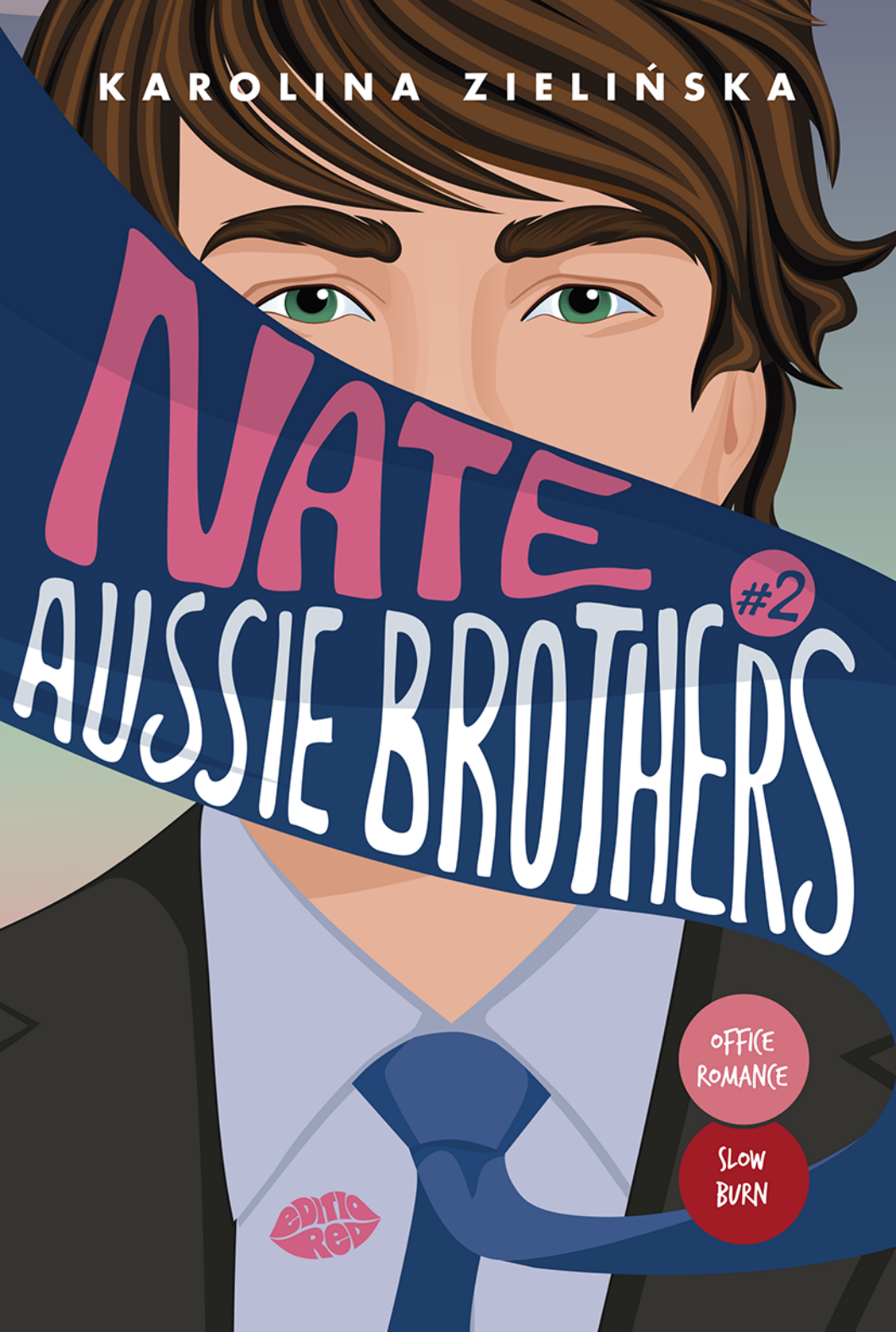


KAROLINA ZIELIŃSKA



NATE

AUSSIE BROTHERS

#2

OFFICE
ROMANCE

SLOW
BURN

editio
red

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka
Redakcja: Dominika Bronk Polonistyczna Krucjata
Korekta: Kamila Galer-Kanik
Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel. 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
WWW: editio.pl (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres
editio.pl/user/opinie/natab2
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-2156-6

Copyright © Helion S.A. 2025

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



1

Nate

– Dajesz! Przywal mu! – krzyczy Jim, podskakując w miejscu jak tresowana małpka. Jest tak podekscytowany, że poczerwieniał na twarzy, przez co idealnie komponuje się z czerwonym plakatem, który powinni byli dawno zdjąć. Nie wiem, po jaką cholerę tutaj wisi. Jest ohydny, idiotyczny i... Czy wspominałem, że powinni go zdjąć?

– Nie oszczędzaj go! – dodaje Josh. – Postawiłem na ciebie!

Uśmiecham się, a potem łypię na przeciwnika. Nie znamy się dobrze, wiem tylko, że wołają na niego „Skała”. Rzeczywiście facet jest potężny. Minęły dwie rundy. Pot lśni na mojej skórze. Wciągam gwałtownie powietrze. Raz, drugi, trzeci.

Dobra, czas kończyć tę zabawę.

– Nate! Nate! Nate! – Jim i Josh zaczynają się zachowywać jak pieprzone cheerleaderki.

Zerkam na nich, marszcząc gniewnie brwi. Gdyby nie rękawice, pokazałbym im środkowy palec.

Skała okazuje się zadziwiająco szybki. Mam wrażenie, że bydlak unosi się w powietrzu. Skupiam się na jego ruchach. Chcę go osłabić ciosami w korpus, ale zasłania się szczelną gardą. Kurwa. Najchętniej wypuściłbym ochraniacz na zęby i zaczął wrzeszczeć. Pierdolony wtorek. Nienawidzę wtorków. Wszyscy mówią, że poniedziałki są do dupy, ale u mnie to działa inaczej. Wtorki. Wtorki są najgorsze.

Dostrzegam lukę defensywy i koncentruję się na głowie tego typu. Uderzam go w szczękę tak mocno, że z jego ust tryska krew.

– Masz go! Dalej! Z sierpowego! – wyje Jim.

– Na prawo! Nate! Na prawo! – przekrzykuje go Josh.

Skała zadaje mi mocny cios z lewej i prawie klękam na macie, ale ostatecznie udaje mi się podnieść i odpięram atak. Blokuję i staram się zachować między nami dystans.

– Sto doliców na Harrisa! – słyszę czyjś głos.

Skała robi się nerwowo. Przestaje myśleć i zaczyna polegać na swoich pięściach, co oczywiście wykorzystuję. Boks jest jak gra w szachy. Tutaj nie wystarczy zwykłe

napierdalanie. Trzeba być zawsze kilka ruchów do przodu. Mieć scenariusz. Czuję, jak złość przetacza się przez moje napięte ciało. Nie chcę pamiętać o tym, co wydarzyło się w firmie, ale z jakiegoś powodu właśnie to wpada mi do głowy. Przypominam sobie rozżaloną minę ojca i satysfakcję wymalowaną na gębie Aarona. Niech go szlag. Jestem pewny, że maczał palce w tej sprawie. Ten kontrakt mógł się udać!

Wściekłość przeradza się w furię i wyprowadzam lewy prosty w brzuch Skały. Zwiją się z bólu, mamrocze coś niewyraźnie, a potem wyjmuję ochraniacz i zaczyna wymiotować. Krzywię się.

Patrzę na swoich białych, zniesmaczonych kumpli, z którymi znam się kawał życia, i unoszę ręce w geście zwycięstwa.

– Ale go załatwiłeś! – Josh poklepuje mnie po ramieniu, kiedy siadam na ławce w szatni.

Biorę łyk wody. Przez chwilę przyglądam się butelce, a potem rozciągam usta w szerokim uśmiechu zdradzającym moje zadowolenie. Tak, wjechałem mu. Nie ma co ukrywać.

– Mogłem postawić więcej. – Jim opiera się o metalowe szafki.

– Myślałeś, że przegram? – Unoszę brew i celuję butelką w jego fiuta. Jim nie może zapanować nad biegiem wydarzeń i oberwawszy, jęczy głośno.

– Oszalałeś?! Będzie mi dziś, kurwa, potrzebny! – Masuje się po, zapewne, obolałych jajach.

– Zamówiłeś sobie w końcu tę gumową lalę z AliExpress? – Josh parska śmiechem.

– Ja pierdolę, ale z was matoly. Randkę mam.

– Rozwódka czy wdówka? – pryham.

– Jest barmanką.

– Uciekaj – rzucam bez wahania. – Barmanki to podstępne suki. Wrobi cię w dzieciaka albo zarazi jakimś syfem.

– Ma na imię Victoria. – Jim zrzuca z siebie przepoconą koszulkę. – I pracuje w Blue Lagoon. Umówiliśmy się tam wieczorem.

– Nieźle, nieźle. – Kiwam głową z uznaniem. – Ładna?

– No kurwa! – wzdycha Jim. – Zajebista. Jest tak gorąca, że stoi mi za każdym razem, kiedy na nią patrzę. Duże cyci, zgrabna dupa. Długie czarne włosy i czerwone usta.

– Jesteś pewny, że ta laska istnieje? – parska Josh. – Bo właśnie, kurwa, opisałeś anioła.

– Masz jej zdjęcie? – pytam zaintrygowany.

– Wypchaj się. – Jim wciska pod pachę butelkę żelu do kąpeli i maszeruje w stronę kabin prysznicowych.

– Zobacz, jak broni swojego terytorium. – Szturcham Josha w ramię. – Prawie by mnie pogryzł. – Wstaję z ławki, nurkuję do wnętrza sportowej torby, którą trzymam w szafce, i wydaję z niej kosmetyczkę. – A ty potrzebujesz specjalnego zaproszenia? – Zerkam na kumpla.

– Daruj sobie, Harris. Nie jesteś w moim typie – odszczekuje Josh. – Mam jebane zakwasy, ostatnie treningi kompletnie mnie wykończyły. Od jutra całe popołudnie spędzam na kanapie w towarzystwie tim tamów.

Uśmiecham się na wspomnienie czekoladowych wafelków. W moim rankingu dzielą pierwsze miejsce wraz z lemingtonami. Te ostatnie trudno pobić, bo wiąże z nimi mnóstwo wspomnień z dzieciństwa. Poszczęściło się nam – dorastaliśmy z bratem, podróżując po najróżniejszych częściach świata. Mieliśmy fajne zabawki i telefony, podczas gdy połowa naszych rówieśników mogła jedynie pomarzyć o komórce z kolorowym wyświetlaczem i grą w snake'a. Szkoda, że nagle podczas jednego tragicznego popołudnia wszystko obróciło się w pył.

Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Zaciskam zęby tak mocno, że boli mnie szczęka. Od śmierci mamy minęło sporo czasu, lecz wciąż nie potrafię jej wybaczyć. Targa mną złość. Nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego to zrobiła. Dlaczego nie zachowała ostrożności? Dlaczego wybierała służbę ponad wszystko?

Zaciskam dłoń w pięść, kiedy sobie uświadamiam, że Noah, mój młodszy o rok i dwa miesiące brat, był gotów zrobić to samo. Jestem wdzięczny Sky za to, że pokrzyżowała jego plany i zatrzymała te paskudne zapędy. Naprawdę odechnęliśmy z ulgą, kiedy się dowiedzieliśmy, że brat odwołuje swój wyjazd do bazy wojskowej. Ta Amerykanka dokonała czegoś, co wydawało się zupełnie niemożliwe, i pewnie dlatego stała się ulubienicą naszego ojca. Taaa, stary miał wobec niej dług wdzięczności. W sumie obaj mieliśmy. Noah nie mógł wybrać sobie lepszej żony.

Wchodzę do kabiny, odwieszam ubrania na wieszak i odkręcam kurek z ciepłą wodą. Nie jestem fanem zimnych pryszniców.

– Kto pożyczy mydło?! – słyszę zduszony przez wodę krzyk Josha i kręcę głową z niedowierzaniem. – I ręcznik? Bo ręcznika też zapomniałem.

– Rozumu też nie wzięłeś? – parskam.

– Nie można zapomnieć czegoś, czego się nie ma! – wrzeszczy z kabiny obok Jim.

– Nie bądź fiutem, Beckett – odpowiada Josh. – Daj mi cholerne mydło.

– Nie mam mydła. – Tamten rechocze.

– Ja pierdolę – syczy Josh, uderzając pięścią w ścianę kabiny. – Anglicy to jednak snoby.

Śmieję się na całe gardło, a następnie przesuwam butelkę żelu do kąpieli przez szparę. Wcześniej nie widziałem sensu w zostawianiu przestrzeni pomiędzy ścianą a podłogą, ale teraz już wiem, że to ukłon w stronę osób, które notorycznie zapominają zabrać ze sobą pieprzonego mydła.

– Dzięki, Nate – buczy Josh.

– Tam jest niewidzialna karteczka z napisem „do zwrotu”.

– Uwielbiam twoje niewidzialne karteczki, Harris – ironizuje Jim. – To efekt uboczny przebywania z Johnnym?

– Ano. – Szczepię się, splukując mydliny z ciała. – Ostatnio oglądaliśmy koncert Def Leppard z dziewięćdziesiątego ósmego i wiecie, że skubany zaczął nucić kawałek *Hysteria*?

– Zna Def Leppard? – dziwi się Josh.

– Jest za mały na świadome nucenie piosenek – zauważa Jim. – Ogranicz swoje magiczne pigułki, Nate.

Przewracam oczami z dezaprobatą, zakręcam wodę i sięgam po ręcznik. Właściwie to dopiero w tym momencie czuję, jak zmęczenie przenika przez każdą komórkę mojego ciała. Przemykam powieki, ale nie odnajduję spokoju, bo znów atakują mnie wściekle myśli. Poranek rozpoczął się fatalnie, ale południe było najgorsze. Moment mojej chwały przerodził się w porażkę, a tych nie akceptowałem. Nigdy. Co się stało? Dlaczego straciłem kontrakt wart co najmniej kilkaset tysięcy? Kurwa. Gdybym tylko mógł wymazać ze swojego życia ostatnie osiem godzin... albo przynajmniej znaleźć argument, żeby obić Aaronowi głowę.

Wkładam sportową koszulkę z krótkim rękawem i dresowe szorty, a potem wychodzę z kabiny i kieruję się do szatni. Z wnętrza metalowej szafki wydaję białą koszulkę i czarne garniturowe spodnie, które są bardzo wygniecione i nikomu nie przyszłoby do głowy, że pochodzą z najnowszej biznesowej kolekcji Armaniego. Nie dbam o to. Rzeczy to tylko rzeczy. Jeśli zniszczę koszulkę, kupię drugą, trzecią, a nawet dziesiątą. Upycham ubrania do sportowej torby, a gdy w końcu udaje mi się ją zapiąć, siadam na ławce i pytam samego siebie:

– Gdzie są moje buty?

Byłem pewny, że zostawiłem je pod ławką.

– Gdzie są, kurwa, moje buty?! – unoszę głos, kiedy Jim wchodzi do szatni.

– Tam, gdzie były moje – odpowiada z szelmowskim uśmiechem. – Mówiłem, że się zemszczę.

– Chyba żartujesz? – jęczę, spoglądając w stronę okien.

– Karma.

Świetnie. Po prostu zakurwiście. Podchodzę do okna, otwieram je na oścież i szybko zabieram z parapetu swoje sneakersy.

– Oby ci nie stanął – mamrocze wściekle, patrząc na szczęśliwego kumpla.

– Mówiłeś coś?

– W nogę grają. – Wymyślam na poczekaniu.

– Kto? Gdzie?

– Dzieciaki na parkingu. – Wykrzywiam usta w drwiącym uśmiešku. – Dobra, lowelasie, spadam.

Zakładam torbę na ramię, podchodzę do niego i zbijamy piątkę.

– Myślałem, że chcesz odzyskać swój żel pod prysznic?

– Taaa – pryham pod nosem. – Już się pogodziłem ze stratą.

– Pewnie sobie wali gruchę.

– Dawno nie ruchał, ma prawo – stwierdzam. – Daj znać, jak było z bar-manką, aye?

Jim kiwa głową, co uznaję za wystarczające potwierdzenie. Wychodzę z szatni, do kieszeni spodenek wsuwam telefon i kluczyki od samochodu. Przeczesałem palcami mokre włosy i posyłam łobuzerskie uśmieški w stronę damskiej części personelu siłowni. Jestem przyzwyczajony, że dziewczyny wodzą za mną wzrokiem. Wkładam wiele pracy w to, żeby dobrze wyglądać, więc ich aprobata wcale nie wydaje się przesadzona.

Wychodzę przez rozsuwane drzwi prosto w objęcia gorącego styczniowego wieczora. Jest tak duszno, że z trudem łapię powietrze. Z mojej piersi wydostaje się głośne westchnienie, kiedy idę w stronę Station Road. Nie miałem szczęścia. Gdy przyjechałem, wszystkie miejsca były zajęte. Co oczywiście nie powinno nikogo dziwić, bo przecież ciąży nade mną jakaś popierdolona klątwa. Pot spływa po moim czole, koszulka lepi się do skóry. Jestem przekonany, że pożary znów strawią okolice Sydney. W oddali dostrzegam swoje auto. To czarny ford mustang z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Zaparkowałem na krawężniku, trochę niedbale, bo spieszyłem się na boks. Staram się przekierować męczące myśli na boczny tor i zastanawiam się, jak spędzę resztę tego upalnego wieczora, gdy nagle dobiega mnie płacz. Zatrzymuję się, mimo że od samochodu dzieli mnie parę metrów, i rozglądam wokół. Niespodziewanie mój wzrok pada na chłopca skulonego na chodniku. Zaniepokojony podchodzę bliżej.

– Hej, kolego. Wszystko okej?

Chłopiec zanosi się coraz większym płaczem, więc bez wahania kucam obok niego.

– Gdzie są twoi rodzice?

Nic. Nadal zero odpowiedzi.

– Jak masz na imię?

– Cooper – wydusza.

– Ja jestem Nate. Co się stało, Coop? Zgubiłeś się?
– Nie, byłem głodny i wyszedłem, a potem zostałem sam i... – Chłopiec urywa. – Boję się.

– Ile masz lat?

– Pięć.

Zaciskam zęby, żeby nie wybuchnąć furią. Jak można dopuścić do tego, żeby dziecko samo się oddało? Wściekam się coraz bardziej i bardziej, bo nieoczekiwanie na miejscu Coopera wyobrażam sobie przerażonego Johnny'ego, a dla bratanka jestem gotów spalić świat.

– A ty? – Chłopiec z niepokojem przygląda się mojej twarzy.

– Ciut więcej.

– Dziesięć?

– Taaa, dziesięć – wzdycham głośno. – Słuchaj, może chcesz się czegoś napić? Tam niedaleko jest sklep. Mogę ci kupić jakąś wodę czy sok. Na co masz ochotę?

– Na sok.

– Dobra. – Wyciągam dłoń w jego kierunku. – Chodź, kolego.

– Ale ja... – Waha się, lecz ostatecznie podnosi z chodnika i podaje mi drobną, spoconą rączkę.

Zamierzam zadzwonić na policję, kiedy tylko kupię mu ten sok. Nie chcę, żeby dzieciakowi stała się jakaś krzywda, i liczę, że z pomocą odpowiednich służb chłopiec wróci do rodziców. Chociaż sądząc po tym, jak łatwo zgubili pięciolatka, może starymi powinna się zainteresować opieka społeczna? Moja głowa niemalże pęka od nadmiaru domysłów i ewentualnych rozwiązań, aż nagle słyszę czyjś krzyk:

– Halo! Halo! Co pan robi?! Proszę natychmiast zostawić moje dziecko!

– Ella! – Cooper żywo reaguje na wściekłą kobietę, która do nas podbiega i bez najmniejszego wahania uderza mnie torebką po twarzy.

– Zostaw mojego chłopca! – wydziera się. – Cooper, uciekaj!

– Twój chłopiec – warczę, wrywając jej torebkę – siedział jak pies na chodniku!

– Puszczaj go albo dzwonię w tej chwili na policję!

– To ja miałem dzwonić na policję! – syczę zdenerwowany. – Jaka matka zachowuje się w ten sposób?! Dzieciaka trzeba pilnować, idiotko!

– Odwal się od nas! I oddawaj moją torebkę!

– Bezmyślna kretynka. – Obrzucam ją spojrzaniem. Nie jest brzydka, czego kompletnie nie rozumiem, bo z charakteru to straszna zołza. Ma ciemnoblond włosy, które sięgają do połowy pleców, i duże brązowe oczy pałające gniewem. Na krótką chwilę zatrzymuję się na pełnych ustach i biorę haust powietrza. *Ja jebię, zdecydowanie nie powinna wyglądać w ten sposób.*

– Co chciałeś z nim zrobić?! – wrzeszczy jak opętana, przez co wokół nas zaczynają się zbierać gapie. – Zboczeniec! Chciałeś go porwać?!

– Ty masz jakiś problem – stwierdzam oschle. – Powinnaś się leczyć, wiesz o tym?

– Pomocy! On ukradł moją torebkę!

Hę?

Zerkam na swoje dłonie, które ściskają czarną, skórzaną torebkę, i w pośpiechu odrzucam ją w stronę seksowanej wariatki wyglądającej tak, jakby miała zaraz eksplodować.

– Nie ukradłem – bronię się. – Rozejść się! To nie przedstawienie! No już! Spierdalać! – wrzeszczę na gapiów. – Nie macie innego zajęcia?!

– Jak się czujesz, kochanie? Jesteś ranny? Zrobił ci krzywdę?

– Krzywdę to ty mu zrobiłaś, matko od siedmiu boleści!

– Nie wtrącaj się!

– Coop, powiedz swojej zdziczałej mamusi, jak było – cedzę przez zęby.

– Nie będziesz zasłaniał się dzieckiem, gnojku!

– Jesteś taka tępą czy tylko udajesz?

– Dość tego! Chodź, kochanie. Jedziemy do domku, a z tobą – grozi mi palcem – porozmawia policja!

– A jednak jesteś taka tępą.

I seksowna.

– Oszczędź swoją gadkę na przesłuchanie.

– Powinnaś mi paść do stóp za to, że chciałem pomóc Cooperowi.

– Pomóc?! Chciałeś go porwać! Nie! Nie zbliżaj się do nas! Słyszysz?!

Nawet o tym nie myśl.

– Tam stoi mój samochód – wyjaśniam, wskazując na mustanga. – Muszę się do niego dostać. Bardzo mi przykro, że używam w tym celu nóg, ale skrzydła jeszcze mi nie wyrosły.

– Psychopata!

– Jesteś naćpana czy zawsze brakuje ci piątej klepki?

– Zadzwońłam na policję – dociera do mnie jakiś obcy głos. Zerkam za siebie i widzę wściekłe oczy utkwione prosto we mnie. Ze zdziwienia aż mrugam, ale kobieta, która w sumie mogłaby być moją babcią, wcale nie ma pokojowych zamiarów. O nie. – Wiesz, co z takimi jak ty robiło się w średniowieczu?

– Z całym szacunkiem, ale pani nie powinna się udzielać.

– Ależ będę! I gdybym tylko mogła, to spaliłabym cię na stosie! Ludzie! – Kobieta zwraca się do tłumu niczym Churchill podczas swojego pierwszego przemówienia w roli premiera w Izbie Gmin. – Co z wami?! Co tak stoicie jak kołki?! Łapcie go!

– Łapcie? – powtarzam zdumiony.

Dostrzegam kilku śmiazków ruszających w moim kierunku i wyraźnie zaznaczam, że jeśli będę zmuszony, to użyję siły.

– Trzymajcie go, aż nie zjawi się policja!

– Policja? – Dziecięcy głosik przebija się przez panujący chaos.

– Cooper! Wracaj!

Chłopiec przedziera się między gapiami, podbiega do mnie i lustruje uważnym spojrzeniem.

– To przez sok? – pyta cicho.

– Niestety, kolego, nikt nie wie, że chcieliśmy pójść na sok. Może im powiesz? Zrobisz to dla mnie, Coop?

– My chcieliśmy iść tylko na sok – mówi chłopiec, nie spuszczać ze mnie oczu.

– Cooper! Wracaj do mnie w tej chwili! Nie zbliżaj się do tego pana! Słyszysz?!

– To Nate – wyjaśnia chłopiec.

– O Boże, już pojawił się syndrom sztokholmski! – krzyczy tamta starsza kobieta. – Dziecko uzależniło się od swojego oprawcy!

Gdy słyszę dźwięk policyjnych syren, mam ochotę uciekać. Nieważne gdzie, byle jak najdalej stąd, ale mimo obaw stoję twardo w miejscu i wgapiam się w czubki swoich sportowych butów. Kumple nigdy mi nie uwierzą, co takiego wydarzyło się po wyjściu z siłowni. Dzień jak co dzień? Taaa, nie. Nie w moim życiu. Wtorek daje mi w kość jak jeszcze nigdy.

Staram się zachowywać normalnie. Nie napinam mięśni, moje ramiona zwiśają swobodnie wzdłuż boków. Przystępuję z nogi na nogę i obserwuję dwóch funkcjonariuszy wysiadających z radiowozu. Robi mi się słabo.

– Co się tutaj dzieje? Co to za zbiegowisko?

– On porwał dziecko tej dziewczyny! – wydiera się ktoś z tłumu.

– Nie porwałem – zaprzeczam. – To jakieś nieporozumienie. Nic mu nie zrobiłem.

– Widziałam cię! – włącza się matka Coopera. – Trzymałeś go za rękę i ciągnąłeś Bóg wie gdzie i Bóg wie po co! Chciałeś go skrzywdzić!

– Pomagałem mu! – unoszę głos. – Kurwa, kobieto, opanuj się!

– Proszę uważać na słowa – upomina mnie policjant. – Pana dane osobowe? Jeśli ma pan przy sobie prawo jazdy, wystarczy.

– Widzisz?! Dobrze ci tak! – syczy matka Coopera.

– Panią też poprosimy o jakieś potwierdzenie tożsamości.

– Mnie? – wydusza złknięta.

– Ha! Masz za swoje. Głupia gęś.

Czekam, aż policjanci wykonają swoją pracę. Jestem przekonany, że za chwilę przeproszą mnie za cały ten syf i będę mógł w końcu pojechać do domu, bo, cholera jasna, jestem wykończony. Serio, ledwo trzymam się na nogach. Marzę o zimnym piwie, miękkiej sofie i lodowatych podmuchach klimatyzacji.

– Skujcie go! To niebezpieczny człowiek! Chciał porwać małego chłopca! – Starsza kobieta nie odpuszcza, a ja wbijam w nią groźne spojrzenie. – Widziałam to na własne oczy! Mogę być świadkiem!

– Litości – sapię pod nosem.

– Cooper nigdy się nie oddała, musiał zostać czymś zwabiony – ciągnie gęs.

– Znalazłem go siedzącego na chodniku. Jaką trzeba być kretynką, żeby świadomie kłamać przy policji?! Przyznaj się, że nie radzisz sobie z opieką nad małym, i zakończmy ten cyrk.

– Radzę sobie! – wścieka się. – To ty jesteś zagrożeniem!

– Niech się państwo uspokoją, dobrze? A reszta? Proszę się rozjechać. Tutaj nie ma na co patrzeć. Z wyjątkiem pani. – Funkcjonariusz patrzy na starszą jeźdź. – Będziemy chcieli przesłuchać panią w charakterze świadka. Złoży pani zeznania na komendzie.

– Zeznania? Jakie, kurwa, zeznania?! – irytuję się.

– Zapraszam pana do radiowozu.

– Co?! Mnie?!

– Panią również – dodaje, zerkając na matkę Coopera. – Porozmawiamy o tym zająci.

– Ale ja nic nie zrobiłam – duka.

– Oskarżyłaś mnie! – atakuję. – Bezpodstawnie!

– Uciekałeś z moim chłopcem! – Gęs szybko przechodzi do defensywy.

– Bill, zaprowadź ich do radiowozu – mruczy jeden z policjantów i po chwili czuję, jak ten drugi szarpie mnie za ramię.

– Sam pójdę! – warczę.

– A Cooper? Nie ruszę się bez dziecka – odzywa się dziewczyna.

– Wezwiemy drugi patrol. Tak będzie bezpieczniej. W tej chwili stwarzacie dla niego zagrożenie brakiem opanowania. Komenda mieści się zaledwie parę przecznic stąd, to nie będzie długa podróż i szybko zobaczy pani dziecko. Proszę wsiadać.

Gęs wie, że nie wygra, więc się poddaje i wsuwa na tylną kanapę.

– Nie możemy tego inaczej załatwić? – pytam z nadzieją. – Jestem niewinny. Tam są sklepy, można ściągnąć monitoring.

– Bez obaw, sprawdzimy. Wsiada pan czy pomóc?

Zrezygnowany zajmuję miejsce tuż obok milczącej gęsi. Siedzimy w krępującej, niemalże duszącej ciszy. Wnętrze auta nie jest zbyt obszerne, więc siłą rzeczy moje kolano ociera się o jej udo.

– Odsuń się – poleca oschle.

– Ty się odsuń.

– Nie mam miejsca.

– A no widzisz – pryham, kładąc torbę na brzuchu. – Ja również nie mam.

– Nie mogę w to uwierzyć – szepcze pod nosem.
– To twoja wina – stwierdzam bez wahania, co jeszcze bardziej ją wkurza.
– To absolutnie nie jest moja wina – mamrocze, wbijając wzrok w przyciemnioną szybę. – Mam nadzieję, że już nigdy więcej nie spotkam cię na swojej drodze.

– Z wzajemnością. – Zaciskam palce na pasku torby.

Znów milczymy, ale teraz ta cisza wydaje się jeszcze gorsza niż wcześniej. Po kilku sekundach zaczyna spowijać mnie kwiatowy zapach jej perfum, który miesza się z moim drzewnym. Poprawiam się na siedzeniu, opieram głowę o zagłówek fotela i przysmykam powieki.

– *Jak mogłeś doprowadzić, do tego, że straciłeś ten kontrakt?! – Ojciec przewierca mnie spojrzeniem zimnych zielonych oczu. Stoję w swoim gabinecie, a dłonie wpycham w kieszenie garniturowych spodni. Wgapiam się w niewidoczną plamkę na ścianie, jakby ta była moim jedynym wybawieniem. – Co się z tobą dzieje, Nathan?!*

– To się nie powtórzy – zapewniam ponuro.

– Oczywiście, że się nie powtórzy! Od tej pory konsultujesz ze mną wszystkie swoje posunięcia, rozumiesz?

– Degradujesz mnie? – kpię.

– Jesteś głównym dyrektorem, nie możesz sobie pozwalać na porażki! To zresztą nawet nie była porażka. Zbłądziłeś nas przed Smithem. Ba! Przed zarządem! Jak miałbym ci powierzyć całą kontrolę nad dorobkiem mojego życia, kiedy ty nie umiesz doprowadzić do zawarcia umowy z klientem?!

– To było ustawione.

– Ty jesteś ustawiony, Nate! – huczy ojciec. – Tylko nie w tę stronę, co trzeba.

– Nie w tę stronę, co trzeba – powtarzam szeptem słowa ojca. Wryły się w moją czaszkę.

Chwilę później do radiowozu wsiada policjant. Bill, o ile dobrze pamiętam. Zapina pasy bezpieczeństwa, zerka na nas w lusterku i odpala silnik.

– Zaraz wszystko sobie wyjaśnimy – mówi spokojnym, choć zdecydowanym tonem.

Wjeżdżamy na ulicę i kierujemy się w stronę komendy. Siedzę jak struty. Kolejny raz czuję, że zawałam całą sprawę i zmierzam... *nie w tę stronę, co trzeba.*



2

Nate

W filmach aukcje zawsze odbywają się w zatłoczonych salach, a przez zgiełk licytacji trudno się przebić. To pewnie dlatego na twarzach młodych mężczyzn maluje się zdziwienie, gdy na miejscu zastają spokój. Dom aukcyjny Vanilla oferuje znacznie więcej niż nabycie obrazów i wypicie drogiego szampana. To tutaj rozpoczyna się rozkosz. Dzika, nieprzewidywalna, ale również ekstrawagancka i luksusowa. Podczas licytacji każdy z zaproszonych mężczyzn ma obowiązek pojawić się w eleganckim garniturze. Czarnym. Powinien też założyć na twarz maskę. Przypominają te karnawałowe, ale z zastrzeżeniem, że jedynym dozwolonym kolorem jest czerni.

O tak. Czerni jest szalenie pociągająca. Mroczna, nieprzystępna, a przez to nieodparcie zmysłowa. Gdy pojawia się pytanie o ulubiony kolor, zawsze odpowiadam to samo – czerni.

Zasiadam na krześle obitym miękkim, czerwonym aksamitem, a następnie wyjmuję z wewnętrznej kieszeni marynarki małe drewniane pudełeczko cygar. Nie palę ich na co dzień. Ich smak jest zarezerwowany na długie piątkowe noce w domu aukcyjnym. Rozciągam usta w leniwym, seksownym uśmiechu i powoli wsuwam cygaro do ust. Trzymając je nad ogniem, kątem oka zauważam dzieła, które będą dziś licytowane. Łącznie jest ich dziesięć. Każde wyjątkowe. Zaciągam się kilka razy cygarem i wypuszczam dym, który szybko wędruje ponad moją głowę i rozplywa się między błyszczącymi kryształami zwisającymi na złotym łańcuchu żyrandola. Odsuwam cygaro od ust i wodzę rozpalonym wzrokiem po dzisiejszej atrakcji.

Vanilla zawsze wie, jak mnie uszczęśliwić. Dzieła, które przygotowano, zaskakują swoją oryginalnością. W pewnej chwili udaje mi się przechwycić spojrzenie jednej z nich i z zainteresowaniem przypatruję się bladej skórze. Kobieta jest niższa niż pozostałe. Japonka. Jestem przekonany, że to Japonka. Nieraz miałem z nimi do czynienia. Mój kutas twardnieje na wspomnienie ostatniej nocy. Och, te skośnookie diabolicznie wiedzą, do czego służą usta. Ale czy chcę powtórki? Może warto zainwestować w coś nowego? Przesuwam wzrok i docieram do opalonych, jędrnych ud. Brązowa skóra lśni w blasku żyrandolowych świec.

Rozsiadam się wygodniej na krześle i pragnę sięgnąć ręką w stronę pobudzonego kutasa, lecz w tej samej chwili obok mnie pojawia się jakiś chłopak. Jest wysoki, ale chudy jak szkap i ma na sobie niedopasowany garnitur, na co reaguję przewróceniem oczu. To miejsce nie jest przeznaczone dla klasy robotniczej ani nawet średniej. W domu akcyjnym smród grubego pieniądza ulatnia się z każdego kąta. Vanilla to plac zabaw dla milionerów.

– Przeszkadzasz mi – syczę.

– Tak? Och, przepraszam. Nie chciałem. Te wszystkie dziewczyny są dla nas?

– Nie wiem, kogo masz na myśli, ale ja nie zamierzam się dzielić.

– Chodziło mi o... mężczyzn. Jestem tu pierwszy raz. Jeśli wylicytuję jakąś, to będę mógł ją... no wiesz?

– Nie, nie wiem. – Zaciskam zęby. – Jesteś w takim miejscu, a krepujesz się używać odpowiedniego słownictwa? Ogarnij się albo spieprzaj, zanim się skompromitujesz.

– Będę mógł się z nią kochać?

– Będziesz mógł ją zerznąć – mówię, nie odrywając wzroku od apetycznie opalonych bioder. – Będziesz mógł ją przelecieć, wypieprzyć. Będziesz mógł dławić jej gardło swoją pałą, ale, kurwa, nie będziesz mógł się z nią kochać. To nie jest miejsce do kochania. To nie są kobiety, które chcą miłości.

– To... czego one chcą?

– Tego, co masz w spodniach – rzucam i uśmiecham się zadziornie. – Twój fiut to ich nagroda.

– O kurwa – sapie. – Kumpel powiedział mi o tym miejscu, zbierałem na wejściówkę przez ostatnie miesiące. Jestem kurierem.

– Naprawdę uważasz, że mnie to interesuje?

– Nie?

– Mam to w dupie. – Zaciągam się cygarem. – Tak głęboko, jak tylko się da.

– Jesteś tu sam?

– Taaa.

– To może...

– Słuchaj, nie chcę być niemiły. Ustalmy coś, okej? Nie przyszedłem tutaj niańczyć nowicjuszy, tylko porządnie przetrząść parę cipek. Wypij. – Podaję mu stojący wcześniej na niskim stoliczku kieliszek z szampanem. – Zapal jakieś zioło, weź gumę i się zabaw. To moja rada dla ciebie. Dałem ci ją całkowicie za darmo. Nie ma za co.

Chłopak patrzy na mnie z szeroko otwartymi oczami. Najpewniej go onieśmieliłem, ale lepiej dla niego, jeśli będę to ja niż jedna z kobiet, którą wylicytuje. Nagle oświetlenie w sali przygasa i robi się chwilowe zamieszanie. Mężczyźni siadają na krzesłach i wyjmują portfele. Przez moje ciało przebiega znajomy

dreszcz, który zwiastuje kolejną falę podniecenia. Uwielbiam ten moment, bo to właśnie teraz mogę bez przeszkód podziwiać wszystkie dzieła sztuki wyselekcjonowane przez Vanillę. Kobiety wchodzą na scenę w towarzystwie licytatora. Dziesięć seksownych, wspaniałych istot, których ciała zostały oplecione czarnymi, skórzanymi pasami. Wstrzymuję oddech, gdy moje spojrzenie pada na ich piersi. Są różne. Okrągłe, naturalne, sztuczne. Z brązowymi sutkami, z piercingiem, tatuażami i różowe.

– Dobry wieczór, panowie. Z największą przyjemnością ogłaszam, że oficjalna licytacja naszych perełek została otwarta. Zapraszam do zabawy, a jednocześnie przypominam o paru zasadach. Licytacja odbywa się wyłącznie w sali aukcyjnej i trwa sześćdziesiąt minut. Cenę wywoławczą ustala organizator, a podbicie musi być wyższe o co najmniej dziesięć procent od niej lub aktualnie licytowanej kwoty. Na tablicy zobaczą panowie swoje nazwiska i przypisane do nich wylicytowane kobiety, które zostają waszą własnością przez czas nie dłuższy niż sto dwadzieścia minut. Wpłatę zaoferowanej ceny należy przesłać na konto organizatora. Numer będzie widoczny na tablicy. Do dyspozycji mają panowie również pokoje znajdujące się na piętrze. Wcześniejsze opuszczenie terenu domu aukcyjnego jest zabronione i skutkuje skreśleniem z listy członków. Obowiązkowe jest stosowanie prezerwatyw. Nieprzestrzeganie regulaminu i świadome narażanie kobiety także będzie skutkowało natychmiastowym usunięciem z listy członkowskiej. Dziękuję za wysłuchanie i przechodzimy do pierwszej licytacji.

Na scenie rozbłyskują światła, kiedy licytator pomaga wejść kobiecie na podwyższenie. Przez chwilę przypatruję się rudym puklom opadającym na mleczną skórę udekorowaną piegami.

Nie.

– Miss Irlandii! – huczy facet z młoteczkim. – Sto pięćdziesiąt cztery centymetry wzrostu, czterdzieści dwa kilogramy. Zielone oczy, pełen biust. Była trenerka fitness. Obecnie pracuje w call center. Cena wywoławcza to dwa tysiące dolarów. Kto da więcej?

Dwa tysiące za zielone oczy? Dwa tysiące za coś, co widzę codziennie w łustrze? *Nah*. Uśmiewam się w kierunku kelnera, który pojawia się niczym widmo i dyskretnie lawiruje między krzesłami. Biorę od niego whisky. Czystą.

– Perełka numer dwa to królowa kwitnącej wiśni.

Wiedziałem.

– Sto pięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu, czterdzieści sześć kilo. Mały, ale naturalny biust. Usta po botoksie. Włosy czarne, oczy jasne. Cena wywoławcza to trzy tysiące dolarów. Kto da więcej?

Waham się, bo wiem, że Japonki potrafią genialnie obciągać, a mój kutas dawno nie był w kobiecych ustach. Upijam łyk whisky.

– Trzy tysiące osiemset dla gentelmana z czerwoną tabliczką.

Ach. Tabliczka. Zawsze zapominam ją wyjąć. Moja jest żółta.

– Pięć tysięcy – woła licytator. – Kto da więcej?

– Sześć! – wypalam, zanim mózg zdola mnie powstrzymać. Sam się sobie dziwię, że tak nagle się wyrwałem, ale trudno. Nie będę się wycofywał.

– Sześć tysięcy dla gentelmana z żółtą tabliczką.

Witaj, wiśniowa królowo.

– Numer trzy to zadziorna brunetka o kocich oczach i czerwonych pazurach. Pochodzi z Katalonii i... miałem panom przekazać, że akceptuje członki powyżej czterech centymetrów. Sto sześćdziesiąt sześć centymetrów wzrostu, pięćdziesiąt kilo. Cena wywoławcza to osiem tysięcy. Kto da więcej?

Kocie oczy sugerują zieleń. Znowu. Wzdycham cicho, jest jednak coś w tej cholernie seksownej opalonej skórze. Mówi o sobie, że jest zadziorna? Z chęcią to sprawdzę.

– Dziesięć tysięcy – zgłaszam się.

– Dziesięć tysięcy! Kto da więcej?!

– Jedenaście! – atakuje ktoś z tyłu.

– Dwanaście pięćset!

Nie lubię konkurencji. Szczególnie tutaj, kiedy naprawdę czuję, że mam władzę.

Chcę się odwrócić i poznać swojego rywala, ale wiem, że to nie byłoby w dobrym tonie, więc siedzę grzecznie na krześle, mimo że złość rozsadza mi żyły.

– Czternaście! – warczę.

– Piętnaście pięćset!

No kurwa mać!

Proszę kelnera o jeszcze jedną whisky.

– Siedemnaście sto!

– Siedemnaście sto! Kto da więcej? Panowie, jestem pewny, że warto trochę powalczyć o naszą katalońską perełkę.

Opróżniam szklaneczkę i wlepiam wzrok w brązowe uda brunetki. Wkurzam się, że wszystkie kobiety mają na sobie te pieprzone maski. Chcę zobaczyć ich twarze, choć doskonale wiem, że ten zaszczyt przypadnie mi dopiero po zakupie. Na ten moment muszę się zadowolić nagimi piersiami, które owija skórzanym paskiem. Zresztą nie tylko to owija. Pasek ciągnie się przez całe ciało, otula biodra i delikatnie wsuwa między wilgotne płatki wagini. Wyobrażam sobie, jak ściągam go zębami, a z moich ust ulatuje jęk.

Muszę cię mieć.

– Dwadzieścia tysięcy! – rzucam z determinacją.

– Dwadzieścia tysięcy! Czy ktoś da więcej?!

Cisza. Upagniona cisza!

– Dwadzieścia po raz pierwszy!

Mówiłem, że będziesz moja.

– Dwadzieścia po raz drugi!

Wezmę cię na wszystkie sposoby, katalońska perelko.

– Dwadzieścia po raz trzeci! Gratulacje dla gentelmana z żółtą tabliczką.

Satysfakcja to przepiękne uczucie. Pławię się w niej, pozwalam, żeby rozgościła się w mojej głowie i zajęła wszystkie myśli, lecz te z zupełnie nieznanego powodu zaczynają mnie męczyć. Stają się upierdliwe i rzucają cię na moją nocną rozrywkę. Nie chcę rozpamiętywać tego, co wydarzyło się dwa dni temu. Nie mam najmniejszej ochoty na wspomnianie zeznań, które składałem w keniezie po tym, jak głupia gęś, która była – o zgrozo – matką, oskarżyła mnie o porwanie jej dzieciaka.

– Numer cztery! Ta perelka zaznaczyła, że preferuje seks analny. Sto sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu i sześćdziesiąt kilo. Sztuczny biust, kolczyki w sutkach i lechtaczce. Cena wywoławcza to dziewięć tysięcy.

Nie jestem fanem sztucznych cycków, więc daję innym pole do popisu.

W międzyczasie kelner częstuje mnie kolejną whisky, która rozluźnia moje mięśnie i powoduje przyjemny szum zagłuszający wyjące myśli. Tak jest lepiej. Nie chcę rozpamiętywać. Pamiętanie jest dla słabych. Pamiętałem tak wiele rzeczy, nosiłem w sobie tak wiele bólu... Po co? Moja dumna pamięć nie sprawi, że mama ożyje. Nie cofnie czasu. To, że będę pielegnował wspomnienia, nic nie da, więc po jaką cholere się truć? Koniec z tym. Koniec z pamiętaniem. Koniec z cierpieniem. Przechyliam szklaneczkę w obecności kelnera i zaraz potem proszę o następną.

– Jest pan pewny? – pyta z troską.

– Nalej. Proszę.

– Czystą?

– Aye. Najlepsza.

Kelner uśmiecha się półgębkiem, dolewa mi alkoholu, a potem odchodzi. Wlewam trunek do gardła, mój przełyk już jest wypalony, bo nawet nie odczuwam pieczenia.

– Numer dziesięć! Przed wami, panowie, ostatnia perelka. To blondynka o niebieskich oczach, która, jeśli wierzyć opisowi, potrafi nakłonić każdego anioła do grzechu!

Zdaje się, że straciłem poczucie czasu i gdzieś przegapiłem moment wystawienia poprzednich dzieł. Cholera. Niedobrze. Staram się nad sobą zapanować. Wypieram to dziwne, gryzące uczucie i zastępuję je pożądaniem. Kładę dłoń na kutasie i zaczynam delikatnie się masować. Uśmiecham się, kiedy wy czuwam na sobie wzrok japońskiej wiśni. O tak, mała. Zanim skończymy i przeleję kasę na konto Vanilli, mój penis będzie twardy jak skała. Zapewniam ją o tym,

wskazując ruchem głowy na swoje krocze. Perelka oblizuje sugestywnie usta. Aha. Wie. Wie, dlaczego ją kupiłem i co będzie robiła. Nie mogę się doczekać, aż ją poczuję. Zerkam na Hiszpankę. Jej też daję do zrozumienia, że jestem gotów na zabawę. W odpowiedzi nieznacznie rozchyła uda. Gdy kelner przechodzi obok mojego krzesła, nie muszę nic mówić. Nalewa whisky do szklaneczki, a ja wsuwam mu w dłoń sto dolarów. Obaj wiemy, że nie powinien już mnie częstować alkoholem, a jednak to zrobił i chwala mu za to.

– Dziękuję, panowie. Zamykamy licytację... – mówi facet z młoteczką.

W pośpiechu wyjmuję telefon i szybko zmniejszam poziom jasności wyświetlacza, a następnie wchodzę w aplikację swojego banku i przelewam mnóstwo kasy na konto domu aukcyjnego. Przelew tytułuję jak zwykle: „Dzieła sztuki”.

Bo każda kobieta jest przecież takim dziełem. A z dziełami należy się bardzo dobrze obchodzić. Trzeba być ostrożnym, ale nie może zabraknąć ekstrawagancji. Dzieła lubią uwagę. Pragną być w centrum wszechświata i właśnie to zamierzam im dać.

Perelki schodzą ze sceny. Podnoszę się z krzesła i idę w ich stronę.

– Do pana. – Moje słowa brzmią władczo.

Wiśnia i Katalonia bez wahania przyklejają się do mojego ramienia. Pachną niesamowicie. Jedna egzotycznie, a druga orzeźwiająco. Totalna mieszanka. Odbieram klucz od licytatora i prowadzę je w stronę schodów. Jestem narąbany i parę razy omal się nie przewracam podczas pokonywania stopni, ale mimo wszystko trzymam się dzielnie. Docieramy na piętro i otwieram drzwi naszego pokoju. Choć równie dobrze mógłbym powiedzieć, że to mój pokój, bo bywam w nim bardzo często. Zero, zero, siedem.

Mów mi Harris, Nate Harris.

Za chuja nie pasuję do Bonda.

– Zrobimy dla pana wszystko – szczebiocze Japonka.

– Zdejmijcie maski. Ciebie chcę na kolanach – mówię, patrząc na wiśnię.

– A ciebie tu na dywanie. Będziesz patrzyła, jak koleżanka ssie.

Perelki odkrywają twarze i wykonują moje polecenia. Są uległe, choć liczę, że niedługo Hiszpanka pokaże, na co ją stać. Ściągam marynarkę i rzucam na duże łóżko z baldachimem, a potem to samo robię z koszulą. Odpinam pasek spodni, powoli wysuwam go ze szlufek i zarzucam go na szyję dziewczyny.

– Pokaż, jak bardzo jesteś wdzięczna swojemu panu za to, że cię wykupił – mruczę, zapinając klamrę.

Wiśnia cicho pojękuje, kiedy przyciska swoje drobne dłonie do mojego krocza. Stoję w rozkroku i pozwalam jej rozpiąć spodnie, a potem zsunąć wraz z bokserkami.

– Tak, suko, otwórz usta. Mhm. Właśnie tak.

Chwytam ją za włosy. Wzdycham głęboko, czując, jak obsypuje delikatnymi pocałunkami moją żołądź i posuwa się w stronę jąder.

– Ściśnij je – instruuję, a potem zerkam na leżącą na dywanie Hiszpankę.
– Zadziorna, tak?

– Bywa – odpowiada z szelmowskim uśmieszkiem na ustach. – Co mam dla pana zrobić?

– Rozgrzej się dla mnie.

Uwielbiam patrzeć, jak kobieta się masturbuje. Jest w tym coś przyciągającego, coś pierwotnego. Jak zahipnotyzowany podążam rozpalonym wzrokiem za jej dłonią, która powoli muska stwardniałe, ciemne sutki. Czuję, jak mój penis rośnie w ustach Japonki, i już po chwili słyszę charakterystyczne odgłosy dławienia. Wysuwam się delikatnie, gładzę ją po twarzy, ścierając kciukiem łzy, które popłynęły z jej oczu w momencie, gdy członek wszedł zbyt głęboko do gardła. Upewniam się, że wszystko jest okej, a potem idę do Hiszpanki kuszącej mnie szeroko rozstawionymi nogami. Klękam na dywanie i ładuję twarzą między jej udami. Mój język wsuwa się w wilgotną cipkę. Liżę ją zapamiętane i prze-
rywam w najlepszym momencie.

– Wracaj tu – skomle, gdy wstaję z kolan.

– Do łóżka – syczę. – Obie. Szybko.

Bez wahania wspinają się na łożo i kładą jedna obok drugiej. Grzeczne, nieskomplikowane i niemogące się doczekać mojego penisa. Uśmiecham się z zadowoleniem. Dołączam do nich, a materac zaczyna uginać się pod naszym ciężarem. Opadam na plecy, ciągnąc za sobą Hiszpankę.

– Usiądź na mojej twarzy – żądam. – Chcę zasmakować Katalonii w najlepszym wydaniu.

Opuszcza się na moje usta, a wtedy zachłannie wsuwam język w jej gorące wnętrze.

– Mhm. O to chodzi. Właśnie tak. Chodź do nas, wisienko – mruczę, prze-
rwaawszy na chwilę pieszczotę, i wplątuję dłoń w czarne włosy Japonki. – Nie czuj się samotna.

– Co chcesz, żebym dla ciebie zrobiła? – pyta takim samym tonem jak wcześniej Hiszpanka. Możliwe, że zwracają się w ten sposób do każdego nabywcy. Czy mi to przeszkadza? *Nah*. Wiem, że nie jestem jedyny. Nie zależy mi na tym. W przeciwnym razie wziąłbym się za dziewicę. Chwytam Katalonię za biodra i lekko unoszę nad swoją twarzą.

– Chcę, żebyś mnie pieprzyła – odpowiadam drugiej.



3

Ella

– Martwię się o ciebie. Widzę, że coś jest nie tak. Co się dzieje? – słyszę zatroskany głos Chloe i biorę głęboki wdech, ale potem zamiast wypuścić z ust potok słów, sięgam po kufel i upijam łyk piwa. – Chodzi o Coopera?

– Wszystko jest w porządku – zapewniam z fałszywym uśmiechem. – Po prostu mam gorszy czas.

– Zauważyłam.

Siedzimy przy barze na wysokich, obrotowych krzesłkach bez oparcia, z głośników sący się nastrojowa melodia. To nasze miejsce. Do baru Morty'ego zawitaliśmy po raz pierwszy, gdy udało nam się obronić prace magisterskie. Obie studiowałyśmy marketing i sprzedaż na uniwersytecie Queensland. Nasza przyjaźń przechodziła wiele etapów. Na początku spotykałyśmy się jedynie na wspólnych imprezach organizowanych przez kampus, ale z czasem zrozumiwałyśmy, że więcej nas łączy, niż dzieli. Pozostawałyśmy nierozłączne, przeżyłyśmy wiele cudownych chwil. A nasza podróż autostopem do Alice Springs na zawsze zapisała się w moim sercu. Nigdy wcześniej nie odwiedziłam terytorium północnej Australii. Mało podróżuję. Moich rodziców nie było stać na dalekie wojaże, choć zapewniali mi wszystko, czego potrzebowałam. Szybko zaczęłam pracować na własny rachunek. Miałam niecałe szesnaście lat, kiedy zatrudniono mnie do pomocy przy roznoszeniu listów. Podczas studiów też pracowałam. Składałam burgery w Maccas*. Nie bałam się pracy. Wręcz przeciwnie: lubiłam podejmować wyzwania.

– Kłopoty w biurze? – Pytanie Chloe rozprasza moje myśli.

Biuro. Ach tak. Zdaje się, że to właśnie tam utknęłam. Zajmuję się content marketingiem. Tworzę atrakcyjne i przydane treści dla malutkiej firmy produkującej kosmetyki. Brzmi dobrze? Niestety to tylko pozory. Dixon, mój szef, zalega z wypłatą wynagrodzenia, a winą obarcza ogólnoswiatowy kryzys na rynku kosmetycznym. Tak, Dixon to dupek. Wiem. Dlatego poza pracą wcielałam się w social media menadżera. Jestem wielozadaniowa. Ostatnio współpracowałam

* Maccas – australijska nazwa McDonald's (przyp. aut.).

z kilkoma większymi wydawnictwami i paroma hotelami, które potrzebowały brandingu własnej marki win. Przy okazji otrzymałam także cztery butelki przepysznego chardonnay, bo przecież muszę wiedzieć, co polecam. Ach, to wszystko może i byłoby wystarczające, a zarobki zapewniałyby mi życie, co prawda, bez fajerwerków, ale na stabilnym, porządnym poziomie, gdyby nie fakt, że zostałam matką. Zostałam nią nagle i bez żadnego uprzedzenia. Gdy dowiedziałam się o śmierci Ann, mojej kuzynki, cały świat runął jak domek z kart. Nie potrafiłam się pozbierać, lecz nie byłam w tym sama. Cooper – niegdyś roześmiany, szczęśliwy chłopiec – zaszył się w swoim pokoju i nie wychodził z niego przez tydzień. Byłam bezsilna i polegałam głównie na pomocy rodziców oraz Chloe.

– Nie otrzymałam pełnego wynagrodzenia od dwóch miesięcy, Cooper nie chce ze mną rozmawiać, a Robert... Robert wymyślił, że zostanie światowej sławy malarzem, ale potrzebuje co najmniej kilku tysięcy na farby, sztalugi i pędzle.

– Teraz chce być malarzem? – Chloe nie kryje swojego zdziwienia. – A co z rzeźbiarstwem? – dopytuje, wsuwając jasny kosmyk włosów za ucho.

– Wypalił się. – Wzruszam ramionami, a piwo niebezpiecznie znika z mojego kufła. – To artysta, który wciąż szuka swojego powołania. Kto wie? Może tym razem mu się uda?

– Chyba nie zamierzasz go w tym wspomóc?

– Robert mówi, że sztuka wymaga ofiar.

– Robert to palant – wzdycha głośno. – Nie możesz go ciągle finansować. Pomyśl trochę o sobie, o Cooperze. Jaki mają kontakt?

– Żaden.

– Jak to żaden? Robert mieszka z wami, prawda?

– Mhm. Mieszka.

– No więc?

– No więc Cooper unika go jak ognia, a on z kolei ignoruje Coopera. Nie wchodzi sobie w drogę, a gdy jesteśmy wszyscy razem, panuje cisza. Czuję, że go tracę, wiesz? Jeździmy co dwa dni na cmentarz do Ann, a on stoi nad grobem i pyta mnie, kiedy mamusia wróci z nieba, bo on za nią tęskni. Jestem rozdarta. – Mówię to wszystko na jednym wydechu. Słowa wylatują ze mnie niczym pociski z karabinu. Nie chcę się żalić, ale naprawdę potrzebuję, by ktoś mnie wysłuchał.

– Śmierć Ann była dla niego szokiem. – Chloe patrzy na mnie z troską. – Do tej pory nie mam pojęcia, skąd wzięłaś siłę na zmierzenie się z krewnymi ojca Coopera.

– Musiałam. Gdybym odpuściła, pewnie więcej nie zobaczyłabym małego. Ann nigdy by mi tego nie wybaczyła. Ci ludzie nawet nie wiedzieli o jej ciąży,

znała ich jedynie z opowiadania, a dla Coopera to nieznajomi, którzy nagle przypomnieli sobie o jego istnieniu.

– Mogliby wyciągnąć kasę z zasiłków na dziecko – rzuca Chloe w zamyśleniu.

– I to był zapewne główny motyw.

– Straszne, że dla pieniędzy ludzie zamieniają się w bezduszne potwory, co?

– Oni nie mieli pojęcia o potrzebach Coopera – złoszczę się. Samo wspomnienie batalii sądowych sprawia, że krew gęstnieje mi w żyłach. Spędziłam na sali rozpraw długie godziny, które przypłaciłam nerwami i najpotężniejszą migreną w całym swoim życiu. Martwiłam się, że Cooper trafi w ręce tych pazer-nych ludzi i wyjedzie z Queensland do Victorii. A to byłaby katastrofa. Ci podli materialści zrobiliby wszystko, by wymazać z dziecięcej pamięci Ann i Brisbane. Nie. Nie mogłam do tego dopuścić.

– Dajesz z siebie wszystko. – Chloe kładzie swoją dłoń na mojej. – Poświę-
casz się dla małego i Roberta, ale może czas to ograniczyć?

– Dziecka nie da się ograniczyć.

– Ale faceta już tak. – Uśmiecha się blado. – Jesteś za dobra, Ella.

– Tak, dokładnie to samo powiedziała moja mama. – Parskam nieprzy-
jemnym śmiechem.

– Widzisz? To znaczy, że coś jest na rzeczy. Nie daj sobą manipulować.

– Wszystko byłoby okej, gdyby nie ta cholerna praca. Dixon leci w kulki.

– Znajdź inną.

– Serio? Na pstryknięcie palca?

Chloe przygląda się mojej twarzy przez kilka długich sekund, a potem w jej spojrzeniu dostrzegam błysk.

– Co? – Zerkam na nią spode łba.

– Właśnie sobie przypominałam, że mój kolega ostatnio wspominał o wol-
nym etacie w swojej firmie.

– Czekaj. Czekaj... Czy to ten sam, który wrzucił ci do torebki żabę?

– Ten sam – szczerzy się. – Może w końcu będzie okazja, żebyście się poznali?

– Prędzej piekło zamarznie.

To nie pierwszy raz, kiedy Chloe namawia mnie na spotkanie z tym kole-
siem, ale jak mówiłam, prędzej piekło zamarznie, niż spełnię jej życzenie. Nie
polubię typu, który ciągle z czegoś żartuje i mimo swojego dorosłego wieku
zachowuje się jak gówniarz. W sumie dziwię się, że Chole nazywa go swoim
kolegą. Ich znajomość nie trwa zbyt długo, no i zaczęła się w dość niecodzienny
sposób. Spotkali się w kawiarni. Pech chciał, że przechodziła obok jego stolika,
kiedy nagle jakaś sfrustrowana kobieta wylała na niego swój napój. Facet musiał
zdjąć koszulę, a moja przyjaciółka, niczym patronka od spraw beznadziejnych,
uznała, że to idealny moment, aby wykazać się chęcią niesienia pomocy. Cała sy-
tuacja skończyła się tym, że znaleźli się w damskiej toalecie i zostali posądzeni

o seks w miejscu publicznym, co oczywiście niezbyt spodobało się Killianowi, narzeczonemu Chloe. Jedna poplamiona koszula spowodowała naprawdę wielki chaos. Zupełnie niepotrzebnie. Ugh, ten typ to gwiazdor pławiący się w blasku fleszy. I mam na to twarde dowody w postaci ostatniej akcji charytatywnej, w której wziął udział tylko po to, żeby się pokazać. Chloe wiele razy chciała pokazać mi ten wywiad, ale uparcie odmawiałam. Zdecydowanie nie planowałam tracić swojego cennego czasu na dupka z wybujałym ego.

– Killian też był przekonany, że go nie polubi – ciągnie Chloe.

– To na mnie nie działa.

– Będę próbować do skutku.

Wracam do domu dwie godziny później. W mieszkaniu panuje cisza, która od razu przekuwa moje serce niczym szpilka balonik. Choć właściwie czego się spodziewałam? Powinnam się przyzwyczaić. Powinnam wiedzieć, że Cooper nie wynurzy się ze swojego pokoju, a Robert nie robi absolutnie nic, żeby przekonać dziecko do zmiany decyzji. Siadam na beżowej sofie i przyglądam się zdjęciom Ann. Czasami wydaje mi się, że nie powinnam była mieszkać w jej domu, ale psycholog uznała, że to pomoże chłopcu się odnaleźć w i tak przerażająco trudnej sytuacji. Zrobiłam to dla niego. Zmieniłam całe swoje życie dla tego dziecka, wierząc, że postępuję słusznie.

– Ella? To ty?

– A ktoś inny? – odpowiadam, a chwilę potem z kuchni wychodzi Robert. Ma na sobie białą koszulę i szare eleganckie spodnie. Wygląda jak z okładki magazynu o modzie i pewnie połowa kobiet chciałaby się znaleźć na moim miejscu, ale czy czuję się, jakbym wygrała los na loterii? To skomplikowane pytanie z jeszcze bardziej pokręconą odpowiedzią, której chyba nie chcę udzielać.

– Świetnie, że wróciłaś. Chodź, chcę ci coś pokazać.

Łypię na niego okiem, a kiedy widzę, jak bardzo jest podekscytowany, wstaję z miejsca i człapię za nim do kuchni. Zastanawiam się, czy przygotował dla nas jakąś kolację. Nie wyczuwam żadnych zapachów, co trochę mnie martwi. Potrawy zwykle roztaczają smakowitą woń. Cóż, bywa. Zamówię pizzę albo pozwolę Cooperowi zdecydować, co będziemy jeść.

– Spójrz tutaj.

Robert prowadzi mnie do stolika, na którym panuje chaos w postaci porozrzucanych i zapelnionych rysunkami kartek bloku.

– Co to za bałagan?

– Nieważne – ucina. – Popatrz, co znalazłem.

Podsuwa mi telefon pod sam nos i kiedy dostrzegam na wyświetlaczu witrynę sklepu internetowego z farbami i pędzlami dla początkujących malarzy,

omal nie wybucham ze złości. Szybko masuję skronie, jakbym w ten sposób chciała zatrzymać bulgoczącą we mnie wściekłość. Bo co jak co, ale cierpliwość mam anielską i z reguły bardzo trudno mnie wyprowadzić z równowagi, ale, kurwa mać, dziś jestem bliska zrobienia wyjątku.

– Zamówilem kilka sztuk – informuje. – Nie chciałem od razu rzucać się na głęboką wodę, chociaż w necie wyczytałem, że to jedna z lepszych marek.

– Super.

– Cieszysz się?

Och, wprost szaleję z radości. Nie widać?

– Mam nadzieję, że ta pasja przetrwa dłużej niż dwa tygodnie – mruczę, biorąc w dłoń jedną z kartek. – Co to?

– Szkic drzewa.

– To jest drzewo?

– Baobab. Wyszedł idealnie, prawda?

– Dobra. – Biorę wdech. – Zapytam Coopera, co zje na kolację.

– Jasne, ale najpierw... może sfinalizujemy moje zamówienie?

– Jak to?

– Oddam ci, jak tylko będę mógł.

To żart? Proszę. Błagam, powiedz, że żartujesz.

– Robbie – zaciskam palce na kartce – nie oddałeś mi jeszcze za drewno, którego potrzebowałeś do swoich rzeźb. Sprzedałeś którąkolwiek czy nadal czekają na swoje pięć minut w garażu?

– Bycie artystą nie jest łatwe.

– Utrzymanie domu również! – unoszę głos.

– Pomagam ci – odpowiada bez wahania. – Wczoraj umyłem podłogi, staram się, jak mogę, Ell. Wiem, że jest ci trudno, ale zrozum... nie jesteś jedyna. Nie chciałem być ojcem, a nagle spada na mnie obowiązek zajmowania się Cooperem. Nie zapytałaś mnie o zdanie, po prostu założyłaś, że tak będzie w porządku. To dla każdego stresująca sytuacja.

– Masz rację. – Odkładam kartkę na stolik i podchodzę do Roberta. Czuję się bezradna i potrzebuję, żeby przelał na mnie swoją siłę. Owijam się wokół jego ramienia, a on całuje mnie w czubek głowy. – Przepraszam – dukam. – Kupię ci te farby.

– Wiesz, że cokolwiek robię, robię to z myślą o nas – przekonuje mnie. – Jeśli mi się uda, jeśli zdobędę sławę, to oddam ci wszystko z nawiązką. Ba, wybuduję ci pałac ze złota!

– Wystarczyłby samochód – wzdygam. – Taki, co nie gaśnie w najmniej odpowiednich momentach.

– Skarbie, zapomnij o samochodzie. Miałabyś swój helikopter albo odrzutowiec, albo oba. Naprawdę, gdybym mógł, dałbym ci wszystko.

– Gdybyś mógł – powtarzam głucho.

– Jestem pewny, że to kwestia czasu.

Odsuwam się od niego i przykładam usta do jego ust. Nasz pocałunek jest delikatny i czuły, lecz mimo to wciąż nie potrafię się uspokoić. Zerkam na zegar wiszący na ścianie. Wskazuje szóstą wieczorem. Przez kilka sekund się waham, ale ostatecznie chwytam za komórkę i piszę wiadomość do Dixona z pytaniem, kiedy otrzymam swoje zaległe wynagrodzenie. Potrzebuję pieniędzy.

– Podać ci torebkę?

– Hm?

– No w torebce masz portfel, nie?

– Och, nie. Nie trzeba. Dane karty płatniczej mam zapisane w telefonie. Zawołasz Coopera? Chciałabym już uzgodnić, co będziemy jeść.

– Myślałem, że już coś zamówiłaś.

– Pisałam do szefa w sprawie kasy.

– I bardzo dobrze! Niech nie sądzi, że odpuścisz! Wykonałaś robotę i musisz dostać wypłatę, nie ma, że boli.

Uśmiecham się słabo. Podoba mi się nastawienie Roberta, lubię, kiedy stoi za mną murem i pokazuje, jak bardzo mu zależy na moim bezpieczeństwie.

– Cooper! – wołam. – Cooper, kochanie, zjedź na dół, dobrze?

– Pewnie śpi – stwierdza Robert, ale już po kilku minutach do kuchni przychodzi milczący chłopiec i patrzy na mnie tak, jakbym była jego jedyną deską ratunku.

Damy radę, skarbie.

– Na co masz apetyt? Zjadłbyś pizzę? – pytam miękkim tonem. Cooper kręci głową, a potem wsuwa dłonie do kieszeni brązowych spodenek przed kolano.

– To może kurczaka? Lubisz kurczaki, prawda?

Znów milcząca odmowa. Podchodzę do niego i kucam, nasze spojrzenia znajdują się na tym samym poziomie.

– Kochanie, zjemy, cokolwiek wybierzesz. Dobrze?

– Wiesz, może on ma uraz po tym psycholu, który próbował go uprowadzić – podsuwa Robert.

– Boisz się, Cooper? – Głaszczę chłopca po brązowej czuprynie. – Obiecuję, że nigdy więcej nie spotkasz tego wariata. Nigdy więcej, rozumiesz?

– Nie boję się – odpowiada cicho. – Mogę już pójść do pokoju?

– A kolacja?

Wzrusza ramionami, a ja z całych sił powstrzymuję płacz.

– Zrobię ci niespodziankę, okej? Wymyślę coś fajnego. Możemy się tak umówić?

– Tak – zgadza się. – Lubię niespodzianki.

– Ja też – wtrąca Robert z nadzieją, że mały się nieco otworzy, ale ten reaguje zupełnie odwrotnie. Zamyka się. Czuję to. Wstaję z kolan i całuję chłopca w czoło.

Zamierzam przejrzeć net w poszukiwaniu czegoś kreatywnego na kolację, ale zanim zdążę odpalić Google, dostaję wiadomość od Dixona.

✉ **Dixon:** Panno Greenfield, nagabywanie pracodawcy poza godzinami pracy jest wysoce niestosowne. Porozmawiamy w poniedziałek, a do tego czasu proszę przemyśleć swoje zachowanie.

– Ty gnoju – wyrwa mi się.

– Co? – Robert patrzy na mnie z niepokojem.

– Daj mi chwilę – mówię, przechodząc do pokoju. Potrzebuję chwili samotności, aby dobrać odpowiednie słowa, a potem stworzyć z nich zdanie, które wejdzie w piętę, albo i dupę, szefowi.

– Mogę pooglądać telewizję? – dobiega mnie pytanie Coopera.

– Ależ oczywiście, słoneczko – zapewniam. – Oglądaj.

✉ **Ja:** Jeśli do jutra nie otrzymam swoich pieniędzy, składam wypowiedzenie.

No i to by było na tyle, jeśli chodzi o odpowiednie słowa i zdania.

✉ **Dixon:** Jesteś zwolniona.

Że co?!

– Nie możesz mnie zwolnić! Sama się zwalniam!

– Dlaczego krzyczysz? – Chłopiec przygryza wargę. – Nie rób tego.

– Przepraszam, słoneczko, po prostu... Zresztą nieważne. Wiesz co? Zamówię nam największą serową pizzę, jaka istnieje. Co ty na to? Jestem pewna, że zjesz mniej kawałków ode mnie.

✉ **Ja:** ZWOLNIŁAM SIĘ PIERWSZA.

✉ **Ja:** I NADAL CHCĘ SWOJE PIENIĄDZE.

✉ **Ja:** TY ZBOLAŁY FIUCIE!

– Pomyślałem sobie – słyszę Roberta wchodzącego do pokoju – że może zapisałbym się na jakiś kurs? Sprawdziłem oferty, może warto wydać troszkę kasy i nauczyć się czegoś... Ella?

– Straciłam pracę – ogłaszam ponuro.

– Co?!

– Nie, przepraszam, to nie ja ją straciłam. To Dixon stracił świetnego pracownika.

– Coś ty zrobiła?! Oszalałaś?! To było nasze jedyne stałe źródło dochodu! Co z tą kasą, którą nam wisi? Zapłaci?

Nasze? Nam?

– Może zamiast za kursami rozejrzysz się za pracę? – podsuwam.

– Tłumaczyłem ci.

– Aha.

– Nie obwiniaj mnie za swoje porażki.

Nie mam siły strzepić języka, rozmowa z Robertem o pracy jest jak chodzenie boso po rozżarzonych węglach, ale mimo wszystko gdzieś w głębi tli się nadzieja, że może tym razem się uda.

– Artyści też pracują.

– I tu się mylisz. – Przeczesuje gniewnie swoje ciemnoblond włosy, a potem dłonią wygładza idealnie wyprasowaną koszulę. – Praca twórcza. Mówi ci to coś?

– Rachunki. – Zaciskam zęby. – Mówi ci to coś?

– Ella bądź obiektywna. Co napisałaś temu Dixonowi?

– Czyli to moja wina?! – unoszę się.

– Na to pytanie musisz odpowiedzieć sobie sama. – Siada na sofie przy Cooperze, na co chłopiec odsuwa się jak rażony piorunem i prawie przykleja do drugiego boku mebla.

Mam ochotę uciec i zaszyć się gdzieś, gdzie nikt mnie nie znajdzie. Nieoczekiwane komplikacje wywracają moje życie do góry nogami. Czy naprawdę popełniłam błąd? Przysmykam powieki, a w głowie rozbrzmiewa głos mamy: „Musisz walczyć o swoje!”.

– Będę walczyć o swoje. – Powtarzam na głos tę myśl.

– Walcz, byle skutecznie – odzywa się Robert. – Znając ciebie, na pewno nie skończyło się na uprzejmym zwróceniu uwagi, prawda?

– Zwróceniu uwagi? On wisi mi kasę!

– Powinnaś go przeprosić. Może jeszcze jest szansa, że nie stracisz tego stanowiska.

– Chyba żartujesz?

– Absolutnie nie.

– Mam przeproszać tego... – urywam w ostatniej chwili. Nie chcę przeklinać przy dziecku. – Po moim trupie, Robert. To nie ja jestem prowodyrem tego zamieszania. Gdyby zapłacił, nie byłoby żadnego problemu.

– Wiesz, że jesteś konfliktowa. W pewnych sytuacjach trzeba okazać zimną krew.

Jeśli zacznę rzucać w ciebie nożami na oslep, to policja uzna to za trening sztuki cyrkowej czy jednak zostanie skazana na pozbawienie wolności?

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

PORYWAJĄCY HOT ROMANCE W BIUROWYCH KLIMATACH BRISBANE

Po śmierci kuzynki Ann trzydziestoletnia Ella Greenfield z dnia na dzień zostaje przybraną matką pięcioletniego Coopera. By zapewnić chłopcu wszystko, czego potrzebuje, jest gotowa podjąć się każdej pracy. Nie daje się zatem długo namawiać i przyjmuje posadę w firmie, którą prowadzi znajomy przyjaciółki.

Tymczasem na parkingu nieopodal lokalnej siłowni Ella jest uczestniczką nieprzyjemnego incydentu. Coop na moment znika jej z oczu. Kiedy spanikowana kobieta widzi chłopca ponownie, idzie on dokądś z nieznanym mężczyzną. Krótka wymiana zdań między nią i „porywaczem” kończy się wezwaniem policji. Jakież jest zdziwienie Elli, gdy się okazuje, że facet z parkingu to jej przyszły szef, Nate Harris...

Czy Ella podoła roli sekretarki mężczyzny, który ewidentnie żywi do niej urazę?

Do czego doprowadzi współpraca tych dwojga?

Czy wzajemna niechęć może się zmienić w fascynację?

Motywy w książce:

* Hot romance * Office romance * Boss/employee * Contemporary romance
* Australia * Slow burn

Patroni medialni:



ebook dostępny na:

ebookpoint

© CUTE
©© SENSUAL
©©© SPICY
©©©© DARK

editio
REV
EDITIO.PL

+18

ISBN 978-83-289-2156-6



cena: 54,90 zł